Rok I. Kraków, dnia 20 Października 1882 r. Nr. 14.

PRZEGLĄD LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny współpracownik **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
Rynek, Hotel Drezdeński.

Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.
Rękopisma nie zwracają się.
Inseraty po 10 ct. od wiersza petitowego, następne po 5 ct.
Cena pojedynczego numeru 30 cnt.

PO DZIESIĘCIU LATACH.

NOWELLA

Walerji Marrené.

(Dokończenie).

Zamilkła przez chwilę, a potem dodała z uśmiechem:

— Serca twego nie obwiniam... było tem czem być mogło.

— Więc ty mi przebaczysz? Więc te lat dziesięć...

— Nie mam nic do przebaczenia... Czyż dostrzegłeś we mnie obrazę, żal lub gniew?

Wolałbym był dostrzedz, ale niestety, niestety nie mogłem się tem pochwalić.

Chciałem odpowiedzieć. Nie dała mi na to czasu.

— Tylko wyrzekła — czyny wyradzają następstwa niezależne od woli naszej, to fakt nieunikniony.

— Ha! kuzynko, jesteś logiczną, logiczną jak obojętność..

Używałem tego wyrazu zamiast wyrzutu, sam niepostrzegając, że wyrzut taki był szalony.

Ona skrzyżowała ramiona na piersiach, jakby wyrzut ten przepełnił miarę jej cierpliwości.

— Życie ma straszną logikę — zawołała — i druzgocze tych, którzy jej zrozumieć nie chcą.

Spuściłem głowę — byłem pokonany—ona mówiła dalej:

— Czy ty pomyślałeś kiedy, czem jest na naszym świecie dola istoty dobijającej się swego miejsca pod słońcem, w tej arenie życia, gdzie brutalne siły spierają się tak niemiłosiernie, druzgocząc słabych?

Gdy wymawiała te słowa, zaszła w niej zmiana dziwna: delikatne nozdrza drgały, w oczach zapalały się iskry, a purpurowe usta wyrzucały krótkie, urywane słowa z namiętną siłą, o którą przed chwilą jeszcze nie byłbym posądził jej nigdy.

— Czy wiesz, że ja musiałam rzucić się w ten tłum twardy i ściśnięty, i torować sobie drogę potrącana, odpychana na każdym kroku i to w chwili, kiedy ból po stratach serdecznych odejmował mi siłę, kiedy wszystko co mnie otaczało, było dla mnie nowością straszną. Wówczas to zaczęłam rozumieć logikę rządzącą światem. Gdybym była sama, zapewne byłabym dała za wygranę, zaniechała ohydnej walki, w której każda broń za również dobrą uchodzi... i gdzieś w jakim zakącie... możebym... Ale — dodała po chwili — jakkolwiek słaba, znękana, dziecinna, musiałam być podporą słabszych jeszcze i bardziej znękanych odemnie.

Odetchnęła ciężko, jakby wspomnienie tych dni dławiło ją. Po chwili mówiła spokojniej, pokonawszy się już znowu:

— Byłam szalona, rozbijałam się jak lew w klatce, rozbijałam głowę o wszystkie otaczające mnie konieczności. Nie mogłam

ECHA.

Wspaniały dar Matejki stał się dla nas można powiedzieć wypadkiem politycznym. Każdy fakt bowiem tego rodzaju jednoczy nasz ogół—wszyscy przed nim uchylają głowy i jedna myśl obiega wszystkie nasze ziemie, jakkolwiek one się zwą i jakie znoszą panowanie. Mieszkaniec Polesia lub Żmudzi mówi tak samo jak my w Krakowie: *nasz* Matejko ofiarował obraz dla kraju i *nasz* Wawel pomieści go w swoich murach. Wywołanie tych oznak jedności, która wprawdzie niespożycie istnieje, ale potrzebuje jak każda rzecz zamanifestowania swego bytu — ma bardzo doniosłe znaczenie. A ponieważ naszą najlepszą polityką jest praca około podniesienia serca i ducha, a fakta podobne jak dar «Hołdu» pracy tej przychodzą znakomicie w pomoc — są więc dla nas wypadkiem politycznym.

Sztuka nasza jak prędko wzrosła, tak też prędko stała się narodową. Na szali bytu naszego zaważy ona niemało i nietylko gatunkową swoją ciężkością. Grottger światu całemu opowiadał nieszczęścia nasze, Matejko kreśli nasze tryumfy, a ten co wydobywa skarby z dziejow minionych potęg świata pierwszy największe dzieło swego talentu złożył w ofierze narodowi. Ale na tem polu ofiarności dla kraju nie dał się wyprzedzić najpierwszy z najpierwszych i «Hołdem» swoim złożył hołd idei.....

Złóżmy i my hołd wielkiemu mecenasowi sztuki narodowej i wielkiemu obywatelowi — Matejce.

Matejko, człowiek pracy i ojciec licznej rodziny, nie żałuje dla kraju daru kilkudziesięciotysiącznego. Nie żałował go i Siemiradzki, nie żałowali inni młodzi malarze, co z ochotą pospieszyli złożyć swoje ofiary dla muzeum narodowego. Muzeum to od lat paru «wchodzi» w życie, ale «wejść» jakoś nie może. Widocznie ma słabe nogi, a może..... głowę.

To ostatnie przypuszczenie jest prawdopodobniejsze. Trzy lata czasu radzić, aby nic nie uradzić, a nawet gorzej niż nic, gdyż wydrukowany projekt statutu miał tylko wartość ujemną — to najlepszy dowód, że jakoś głowy zasiadające w «wysadzonym» komitecie minęły się ze swem przeznaczeniem. Obecnie słyszymy, że komitet ma się znowu «zebrać» i radzić — radzimy więc mu, aby się «zebrał» i odczytał to, co pisze w tej sprawie «Wiek» warszawski. Pomieszczona w nim korespondencja przeszła cicho, żadne tutejsze pismo nie podniosło jej, nie zaznaczyło nawet jej pojawienia się. Tymczasem rzadko nam się zdarzyło czytać w korespondencjach warszawskich z Krakowa tak rozumne słowa, tak dobre pojęcie przedmiotu. Nie możemy nawet dorozumieć się kto

zrozumieć nawet tak prostej rzeczy jak ta, że słaby mocniejszemu ustąpić musi, ani tego, że ze wszystkich chętnych przyjaciół, a miałam ich przecież tylu — żaden nie podał mi ręki. A ja byłam tak dziecinna, że twarz pałała mi wstydem w obec fałszu, w obec najzwyczajniejszej zdrady, jakbym to ja popełniała czyn nikczemny,

Każde z tych słów zdało mi się wyrzutem. Bo czyż ja także nie należałem do tej falangi przyjaciół — niedołężnych lub fałszywych?

W obec tych słów jej czułem się przygnieciony ogromem winy. Są położenia, w których bezczyność, zapomnienie, stają się zbrodnią. Spełniłem tę zbrodnię w obec niej.

Chciałem wypowiedzieć jakiś protest, czy tłómaczenie.

Skinęła ręką, jakby prosząc, bym tego nie czynił.

— Teraz, to minęło, minęło od dawna, — wyrzekła. — Bądź spokojny kuzynku, nie mam ci za złe nic — nie mam za złe nic nikomu, świat jest takim, jakim jest i jakim być może; zrozumiałam go wreszcie—tylko, przyznaj sam, dla tych co cierpią to bardzo słaba pociecha.

Uśmiechnęła się, ale tak blado, tak mdle, jakby wszystkie rany odnowione w jej sercu rozkrwawiały się znowu.

— Jestem nikczemnikiem! — zawołałem. — Nie mów mi, że jest inaczej; ty możesz mi przebaczyć, lecz ja samemu sobie nie przebaczę nigdy! — Ona jednak nadto już poznała życie, by wierzyć w wiecznotrwałość takich objawów żalu. Czytałem wyraźnie w jej twarzy, że nie przeczyła mi — przez grzeczność.

I doprawdy wówczas przekonałem się, że gdyby wszytkie kobiety były tak logiczne jak moja kuzynka — położenie mężczyzn byłoby trochę... trochę trudne.

Panna Joanna tymczasem uspokoiła się zupełnie.

— Przepraszam cię — kuzynku — wyrzekła — lecz nie ja pierwsza mówić zaczęłam o przeszłości. Jest to przedmiot, do którego powracać nie lubię.

— Przeciwnie, mówmy o niej, póki jej nie wyczerpiemy tak, by nigdy już więcej nie przyszła nam na usta.

Milczała chwilę pod moim wzrokiem, potem odezwała się nagle:

— To najzabawniejsze, że zawsze najmocniej bolało mię to, co najmniej boleć było powinno. Na podstęp, na fałsz, na nikczemność byłam prawie obojętną, bo jakkolwiek dziecinna jeszcze, wiedziałam przecież, że to wszystko istnieje na świecie. Ale kłamane współczucie tych, dawniej niby dla mnie serdecznych ale głęboka obojętność ukrywająca się pod maską przyjaźni, ale powolne, bezmyślne, bezwiedne prawie odsuwanie się blizkich...

— Mówisz to do mnie — przerwałem. — Czuję, że mówisz to do mnie.

— Ani do ciebie, ani od innych, kuzynie. Był czas, przyznaję to, że byłam niesprawiedliwą, buntowałam się przeciw okolicznościom i prawom rządzącym światem. Teraz, to minęło, — nauczyłam się spoglądać na objawy życiowe objektywnie.

Przeklęty wyraz! stokroć przeklęty w ustach kobiety! Bo proszę tylko, jak trafić do serca, które patrzy na życie objektywnie!

A ona nie domyślając sie wcale sprawionego wrażenia, mówiła dalej:

— Nie czujemy cudzych bólów i potrzeb, to rzecz prosta, bo absorbują nas własne, bo każdy żyje na swój nie na cudzy rachunek, a myśli i uczucia ludzkie rozrywają się w miarę jak prądy bytu rozchodzą się i unoszą indywidua w odmienne sfery. Tak stało się ze mną i z moimi.

Przypomniałem sobie owo zgromadzenie rodzinne, wśród którego tak obcą, tak zupełnie obojętną była panna Joanna i musiałem przyznać jej słuszność.

Bądź co bądź, pomimo logiki i objektywności, podziwiałem hart ducha tej drobnej istoty, z takim spokojem streszczającej nieubłagane prawa, jakich sama padła ofiarą.

— Przecierpiałaś strasznie — zawołałem wpatrując się w nią, jakby szukając śladu bólu na jej twarzy.

Ślady te były wyraźne. Cne to nadały jej twarzy wyraz spokojnej powagi, jaką na niej spotkałem. Cierpienie wyrzeźbiło dziecinne rysy, nadało im wykończenie i charakter.

— Nie skarżę się na to — wyrzekła po krótkiej chwili, podnosząc głowę — nie chciałam się skarżyć. Teraz może zrozumiałeś mnie, kuzynku, i to co raczyłeś we własnej myśli nazywać zagadkami mego losu, postępki moje w przeszłości, nie będą cię więcej niepokoić.

Zkąd się ona o tem dowiedziała! Spojrzałem na nią i dostrzegłem ten mądry wyraz wzroku, przed którym nic nie uchodzi.

Są chwile, w których przyjemnie być odgadniętym — świąteczne chwile serca! Są inne znowu, gdy odgadnięcie takie może być niewygodne — i bardzo nawet.

Pomyślałem to sobie i podobno zarumieniłem się na tę myśl samą.

---

miał na tyle odwagi, aby tyle prawdy powiedzieć i to w Wieku, który miewa zwykle najfałszywsze i najbardziej stronnicze z Krakowa informacje.

Niech panowie «wysadzeni» korespondencję tę przeczytają, a może tak zdecydują się dać życie instytucji, którą mecenasostwo artystów pragnęło krajowi uposażyć.

Kiedy już mowa o mecenasach, to jeszcze słówko.

Mecenasostwa od artystów i wogóle od ludzi ciężkiej pracy, z trudem zarabiających na kawałek chleba, wymagać nie możemy. Mecenasami już z urodzenia powinni być ludzie bogaci, właściciele nie przez siebie zarobionych kapitałów. Jestto jedyna z ich strony sposobność zasłużenia sobie na pamięć i wdzięczność ogółu.

Mecenasów takich mieliśmy jeszcze niedawnemi czasy. Któż zapomni o Działyńskich, kto nie skłoni głowy przed imieniem Aleksandra Przeździeckiego? Taki Przeździecki np. wydał ze sto tysięcy na samo wydanie dzieł Długosza i nie narzekał wcale, nikomu o tem nic nie mówił, nie miał zamiaru «odbijać się.»

Dziś takich mecenasów nie mamy. Mecenasem można zostać bardzo łatwo za cenę paruset rubli, a nawet nic nie ryzykując.

Oto powstała w Warszawie myśl wydania krytycznego dzieł Jana Kochanowskiego. Wydanie takie zbyt wielkich kosztów za sobą nie pociąga, zawsze jednak potrzeba mieć przy rozpoczęciu kapitalik. Znalazło się zatem «kilkunastu mecenasów» i złożyło potrzebną sumkę.

Tymczasem jeden z księgarzy, namówiony i zachęcony zresztą do tego przez znanego uczonego i znawcę języka, widząc, że od lat 10-ciu nie można nawet w handlu antykwarskim dostać dzieł Kochanowskiego, co jest z prawdziwą szkodą dla literatury, postanowił przed wydaniem warszawskiem (zapowiedzianem na rok 1884) wydać tanią popularną edycję dzieł poety czarnoleskiego. Rzecz prosta, że edycja ta miała cel zaspokoić tymczasową potrzebę i przygotować raczej do wydania jubileuszowego, aniżeli mu szkodzić. Nie mając pretensji do krytyczności, nie mogła i nie chciała rywalizować z edycją krytyczną, a rozprzestrzeniana głównie stosunkami osobistemi wydawcy i kolporterką dostawała się i dostaje się przeważnie tam, gdzie edycja warszawska z trudnością dojśćby mogła.

Wydawca krakowski ani się spodziewał jak wielką zbrodnię popełnił. Od trzech miesięcy warczą pióra potępiające jego krok «niewłaściwy.» Ci sami, co chwalili «myśl» jego przed trzema miesiącami, dziś prowadzą go na stos z zadowoloną miną. Wszyscy za tanie pieniądze (3 kopiejki od wiersza) przysięgają się, że oni nigdy tak nieobywatelskiego czynu by nie popełnili.

Naturalnie początek temu dał organ komitetu: Tygodnik Illustrowany. Niektóre pisma pod grozą zarzutu «zdrady naro-

Panna Joanna jednak okazała się wspaniałomyślną — nie zauważyła rumieńca i mówiła dalej:

— Teraz, także zrozumiesz, kuzynku, dlaczego nie mówię nic o drugich, dlaczego chwalę wszystko co chwalą inni — admiruję co wszyscy admirują, dlaczego wreszcie, uważam pana X. za jednę z naszych pierwszych znakomitości.

Przyznaję — tego nie rozumiałem, panna Joanna odgadła to swoim bystrym instynktem, bo wzruszyła ramionami mówiąc:

—Widzisz, kuzynku, samodzielność i wiele innych rzeczy, których nie wymienię, wszystko to jest bardzo piękne w książce,— na papierze — w rozumowaniu. Ale w praktyce?.. Ba! Towar to niepopłatny, szczególniej w kobiecie. Ażeby dźwigać samodzielność, trzeba też samodzielnego stanowiska, lecz skoro go ktoś niema, gdy potrzebuje torować sobie drogę... Cóż znowu!.. Dlatego powtarzam ci, pan X. jest znakomity, a z nim razem znakomitymi są także panowie A, B, C, D. i tak dalej, aż do końca alfabetu.

— I po co ja, pytam się teraz — nienawidziłem tego pana X. przez całe trzy tygodnie, od owego wieczoru u cioci?

Było też za co!

Panna Joanna ciągnęła dalej:

— Teraz już wiesz zapewne kuzynku, dlaczego nikt z grona naszej licznej rodziny nie dał ci o mnie żadnych szczegółów. Jesteśmy rozdzieleni przez światy całe, Hoża ulica nie należy do obrębu Warszawy, a ja...

Nie dokończyła—uśmiechnęła się, a ten uśmiech mówił wyraźnie, że jeźli ulica ta wykluczoną była z obrębu Warszawy, to ona zarówno wykluczoną została z rodziny. Mówiła to jak wszystko inne — objektywnie...

Czy objektywnie także zapatrywała się na dawną miłość naszą? — czy równie stanowczo jak wiele innych rzeczy odrzuciła ją z życia.

Ostatecznie postanowiłem zbadać tę kwestyę.

Wieczór wiosenny zapadał na niebie, rozpościerała się łuna zachodu pomieszana z zimnemi zielonawemi tonami, a wśród niej pływały drobne obłoczki z razu przetykane purpurą i złotem, potem purpura ich mieniła się w fiolet, złoto gasło, fiolet ciemniał, aż te olśniewające blaski co rozweselały oczy, stały się w końcu czarnemi plamami na bladym widnokręgu. Zamiast ciepłych, słonecznych promieni, coraz chłodniejsze powiewy wpadały przez okno otwarte, w którym firanki szeleściały smutno.

Ani ja, ani ona nie myśleliśmy go zamykać.

Wobec sposępniałej natury czułem jak serce moje wzburzone, uspokajało się zwolna.

Zdawało mi się, że byłem pod wpływem jakiegoś podniecającego wrażenia i że zwolna powracałem do trzeźwej rzeczywistości.

Może był to skutek objektywnych poglądów mojej kuzynki.

Patrzyłem na ulicę machinalnie i przypomniałem sobie ten wieczór, kiedy odbywając tam niespokojną wartę spotkałem się z nieznajomym. Jakże samemu sobie wydawałem się szalonym w tej chwili.

Wtem... tak samo jak wówczas kroki jakieś dały się słyszeć na ulicy i wysoka postać męzka wynurzyła się z zapadającej pomroki. Tylko teraz, nieznajomy nie nosił w umyśle moim nieokreślonej nazwy, był to... narzeczony panny Joanny.

Kuzynka moja stała obok mnie w oknie otwartem, — ujrzała go także.

— Teraz kuzynku — zawołała patrząc mi prosto w oczy, swoim dawnym zwyczajem, dziwić się nie będziesz, że przyjęłam rękę zacnego człowieka, ktory znając mnie mało, stał mi się przyjacielem, troskliwością zastąpił rodzinę — nie wachał się szukać żony po za obrębem Warszawy na tem pustkowiu i nie uląkł się ani ubóstwa mego, ani co gorsza samodzielności i nawet owych objektywnych poglądów. Teraz kuzynku, zrozumiesz także łatwo, że tego człowieka... ja kocham...

W istocie panna Joanna miała słuszność — przeczyć nie mogłem, a przytem jak istny szatanek, odgadywała moje najtajjemniejsze myśli.

Zresztą, nie miałem czasu zastanawiać się nad tem — bo w tejże chwili wszedł do pokoju człowiek, którego przed kilku godzinami uważałem za śmiertelnego wroga.

Panna Joanna zwróciła się ku niemu. Gdybym był miał jeszcze jakie złudzenie względem jej dziesięcioletnich wspomnień ta chwila odjęłaby mi one z pewnością, bo jakże promiennym, jasnym i szczęśliwym był w tej chwili wyraz jej twarzy! Nie, musiałem to przyznać przed samym sobą, — taką jak teraz nie widziałem jej nigdy.

— Panie Konradzie — zawołała—właśnie mówiłam o tobie z moim kuzynkiem.

Pan Konrad spoglądał po kolei na nią i na mnie — więcej jednak nierównie na nią, czemu się dziwić nie mogłem. Ale co prawda, we wzroku jego nie było ani podejrzenia, ani groźby, ani nawet najlżejszego zadziwienia.

Przeciwnie, był w nim taki szczery zachwyt, iż mogłem z góry przysiądz, że wszystko, co uczyniłaby lub powiedziała panna Joanna, wydałoby się temu człowiekowi doskonałem, a doprawdy, nie ręczę, czy i z nią nie działo się coś podobnego.

Panna Joanna przypomniała sobie wreszcie obowiązki gospodyni domu i przedstawiła nas wzajem — jednego drugiemu.

— Mój kuzyn Karol, pan Konrad... — tu wymieniła nazwisko jednej z najpoważniejszych firm fabrycznych w Warszawie.

Tak więc, kuzynka moja pod względem majątkowym ro-

---

dowej» przymuszane były formalnie do pisania ..... naiwności.

Ale z tem jeszcze poł biedy — śmieszność sama się pobija. Komitet zbiera się i drukuje w końcu okólnik, a w ślad za nim prezes komitetu wydaje orędzie do narodu.

O co chodzi? spytacie... Chodzi o to, że komitet pobrał «zasiłki» od «mecenasów», a mecenasi chcą się odbić na wydaniu popularnem — *jeżeli* zaś co nadto zostanie, to pragną dać tę resztę na cele jubileuszu.

Taki jest sens moralny tych krzyków. Kilkunastu ludzi bogatych: książąt, hrabiów i bankierów, dało po paręset rubli i pragną się odbić *w całości*. Wydanie krakowskie wzbudza w nich obawę, że każdy z nich może stracić pó 20, 50, a nawet sto rubli! Tak dalece mecenasami być nie mogą.

Porównajmy teraz owego nieodżałowanego Aleksandra Przezdzieckiego, ktory *sam jeden* stracił na Długoszu *kilkadziesiat tysięcy* rubli, a nietylko odbijać się nie miał zamiaru, ale nawet urzędownie prezesem i mecenasem się nie nazywał — z tymi panami i mecenasami, co w *kilkunastu* składają się na *kilka tysięcy* rubli i głosząc o swem mecenasostwie całkowicie *odbić się* usiłują.

Ale może kto powie: gdy nie będzie zysku, to «owe cele jubileuszowe» stracą. Prawda, ale 1mo) o zysku mówi się warunkowo, 2do) na całym świecie podobne wydania jubileuszowe nie zysk a straty przynoszą, kto więc daje skromną subwencję, z góry się zgadza przypadającą na niego część zwrotu kapitału przeznaczyć na celu jubileuszu.

U nas tylko inaczej — za bezprocentową pożyczkę zostaje się mecenasem. Eviva!

Młodzież akademicka powzięła myśl uczczenia mistrza Matejki uroczystym wieczorem w teatrze. W tym celu zaprosiła «Koło literacko-artystyczne», Towarzystwo muzyczne, Szkołę sztuk pięknych i młodzież Akademji technicznej, do wzięcia udziału w ułożeniu programu i wykonaniu powziętej myśli.

Rady miejskie: krakowska i stanisławowska nadały Matejce obywatelstwo honorowe; ostatnia postanowiła jednej z ulic dać mistrza nazwisko. Lwów wysyła deputację.

Koło art. literackie krakowskie również pragnie przyłożyć się do uczcznia mistrza. Wiemy i o innych projektach.

biła zakomitą partję. Dlaczegóż nie powiedziała mi od razu: «idę za miljonowego człowieka,»

Moja kuzynka była tak dziwaczną, iż może uważała to za rzecz podrzędną.

Dyskrecja ta jednak nie zmieniała położenia. Pan Konrad był jednym z najbogatszych ludzi w Warszawie, o tem wiedzieli wszyscy.

Podaliśmy sobie ręce, a choć widziałem na twarzy nowo przybyłego, że poznał mię doskonale, nie czytałem w niej nic podobnego do nienawiści.

Było to położenie dwuznaczne, z którego chciałem wyjść koniecznie i dlatego wyrzekłem:

— Zdaje mi się, że spotkaliśmy się na tej samej ulicy przed kilku tygodniami?

— Tak jest—odparł — ja wychodziłem od mojej narzeczonej, a pan?

— Ja szukałem mieszkania mojej kuzynki.

— Którą przypomniałeś pan sobie po dziesięciu latach zapomnienia — wtrąciła złośliwie panna Joanna. — Ale... jak mówi przysłowie, lepiej późno niż nigdy.

Niestety! Dla mnie możeby lepiej było, gdybym był jej sobie nie przypomniał nigdy!

Pomyślałem to, ale nie powiedziałem, bo i pocóżbym mówił wreszcie.

Wszakże panna Joanna kochała pana Konrada i była tak logiczną, tak konsekwentną, że dla swego kuzynka miała już tylko... objektywne wspomnienia.

Pomiędzy tą parą nie znaczyłem nic, ale to nic a nic — nie wzbudzałem nawet zazdrości, nie byłem w stanie wywołać żadnej burzy, ani stać się bohaterem najlżejszego lirycznego intermezza, o którem, przyznaję, serce moje marzyło.

Było to nieco upokarzającem dla mojej miłości własnej. Ale cóż miałem począć? trzeba było znieść to upokorzenie.

Za to, na następnym zaraz niedzielnym obiedzie u filozofującej cioci miałem przyjemność pierwszy raz przynieść tam wiadomość o świetnem małżeństwie panny Joanny i stwierdzić jak szybko pod wpływem tej wieści podnosił się termometr uczuć rodzinnych.

Moja zalotna kuzynka zrazu stanęła jak skamieniała, a potem zaręczała, że po wszystkie czasy łączyły ją węzły najczulszych uczuć z drogą, ukochaną, jedyną Joasią.

Radca przypomniał sobie najdrobniejsze okoliczności z jej życia. Ciocia zapomniała o Hartmanie, wygłaszając jej pochwały, a pan X., nawet znakomity pan X., który nigdy o nikim nic dobrego nie powiedział, oświadczył głośno, że zawsze znajdował, iż panna Joanna była jedną z najsilniejszych intelligencyj, jaką kiedykolwiek spotkał.

Te wyścigi w złożeniu hołdu znakomitemu obywatelowi świadczą pięknie o wdzięczności narodowej.

Komissja wybrana do ułożenia programu zjazdu literacko-artystycznego w Krakowie, rozpoczęła już swoje obrady. Nie chcemy zdradzać ich treści, to tylko zanotować nam wypada, że zainteresowanie się zjazdem potęguje się z dniem każdym i że rozmiary jego rosną co chwila. Dość wspomnieć, że rzucono myśl urządzenia podczas zjazdu wielkiej wystawy dzieł sztuki polskiej, że artyści dramatyczni noszą się z projektem wspaniałego przedstawienia, w któremby wzięły udział najlepsze polskie siły dramatyczne, że muzycy myślą o wspaniałym koncercie itd. itd. Zjazd na tle takich uroczystości przeistoczy się w prawdziwe święto duchowe.

W skutek tego, odbyła się nazajutrz zaraz wielka wędrówka rodzinna na Hożą ulicę, którą odtąd napowrót wliczono do obrębu Warszawy.

NA DROGĘ ŻYCIA.

Drogi synu mój, pamięć wytęż młodocianą
I pochłaniaj uważnie myśli moich wątek,
Niech me słowa na zawsze w twojej pozostaną
Księdze pamiątek.

Przeszłość twoja w tych progach była jedną chwilką
A godzina rozłąki z drogiemi — tak blizka.
Wyjedziesz, aby odtąd wracać do ogniska
Już gościem tylko.

Ale z gniazda skrzydłami uniesion orlemi
Jakiejkolwiek w swym locie dosięgniesz granicy,
Pamiętaj nieustannie, żeś syn polskiej ziemi,
Syn męczennicy.

Póki tylko w swym mózgu czuć będziesz, żeś człowiek,
Póki iskier nie zgasisz w swym serca wulkanie,
Kochaj Polskę i ufaj do zamknięcia powiek
W jej zmartwychwstanie.

Czy ci Stwórca spokojnie wieść życie pozwoli,
Czy nad głową twą chmura zawiśnie złowroga,
Ty już zawsze i wszędzie, w szczęściu czy w niedoli,
Noś w sercu Boga.

W walce z życiem na ludzi nie rachuj zbyt wiele
I pamiętaj, że przyjaźń możliwa, lecz rzadka;
Jedni tylko nie zdradzą cię już przyjaciele:
Ojciec i matka.

Im też w sercu dozgonną chowaj cześć bez granic
O ich spokój gorące nieś Bogu pacierze,
I pamiętaj, kto własnych rodziców ma za nic
Gorszy niż zwierzę.

Niewdzięcznością dla mistrzów także się nie splami
Czyja pierś na uczucia szlachetne nie głucha,
Światłodawców swych szanuj, bo oni ojcami
Twojego ducha.

W murach szkolnych usiłuj być zacnym kolegą
Dla uczciwych—przystępny, dla łotrów bądź dumny,
Nigdy w życiu nikomu nie pamiętaj złego,
Dobre —do trumny.

Wiara w przyszłość niech zawsze twój żywot upiększa,
Stokroć więcej nad złoto ceń nauki słowo,
Siostrzycą niech ci będzie praca,—choć największa,
Prawda — królową.

Względem biednych nie stawaj na pychy wyżynie,
Ani hołduj bogaczów wielmożności złotej,
Jak siebie, tak i wszystkich współbliźnich jedynie
Mierz skalą cnoty.

Do walk z losem zahartuj i ducha i ciało
Bo na ziemi nie marzyć o życiu beztroskiem
W tej wędrówce na własne niedole bądź skałą
Na cudze—woskiem.

Byle zawód niech piersi twej bólem nie wzdyma,
Łam przeszkody jak tytan, by iść coraz dalej,
A w zapasach bezmiernych miej wciąż przed oczyma
Tych—co wytrwali.

Miłość złota niech w twojem sercu nie zagości
Lecz oszczędzaj — nie gardząc potęgą mamony,
Bo ona daje w życiu skarb nieoceniony
Niezależności.

Drogi synu mój — więcej nie mam nic dla ciebie
Oto wszystko co usta wypowiedzieć chciały.
Niechaj jasno na życia twego świecą niebie
Te ideały.

I. A. S.

Z ETNOGRAFJI KRAJOWEJ

przez

Romana Zawilińskiego.

(Ciąg dalszy).

IV.

W materjale, który mam pod ręką, a o którym powyżej wspomniałem, znajduję z *obrzędów ludowych* wzmiankę o *śmiguście*, nieco o *sobótkach* a za to obfite opisy *wyżynku*, lub jak go gdzieindziej *dożynkiem* lub *obżynkiem* a nawet okrężnem nazywają

Około Krakowa (nie podano miejscowości) obchodzą w drugie święto Wielkiejnocy *śmigust*. Parobcy poprzebierani za cyganów i żołnierzy przychodzą przed drzwi domu i prosząc o pozwolenie wejścia śpiewają:

Miły gospodarzu
Puśćcie nas do izby,
Boć nas tu nie wielu
Nie zrobimy cizby.
Stoimy za drzwiami
Jest Pan Jezus z nami.
Do izby nas puśćcie,
Bo my po śmiguście—
I dejcie nam co macie dać
Bo nam tutaj zimno stać
Krótkie mamy kozuski
To nam pomarzną brzuski.

Gospodarz puszcza ich do izby a gospodyni daje im tylko jedno jajko. Oni pytają:

A gdziez to ta baba
Co jajecko dała,
Bodej ona za to
Z piekła nie wyźrała.
Wyleź babo z piekła,
Boś się już upiekła.

Gospodyni odpowiada:

Jesce nie wylazę
Jaze się usmazę.

Następnie śpiewają «jeszcze inne zabawne piosnki,» których nie podano. Odchodząc wołają: «Śmigust, — wodą chlust!» a na to hasło każdy chwyta jakie może naczynie i zlewa wodą gospodarza, gospodynię, i kogo napotka, poczem zmoczeni «do nitki» wracają do domu.

O *Sobótkach* w okolicy Krakowa mało napisano, tylko, że każdy wieśniak w Zielone Świątki powinien z zapaloną Sobótką obejść swoje pole, że skaczą przez płomienie i śpiewają:

Hej sobótki, sobótki
Bo dziś wieczór krótki;
Hej chłopcy wybrane
Bylem (?) przepasane
Tańćcie wesoło — poczem dodano «itd.»

nic nie mówiące.

Więcej szczegółów podano z okolicy Lanckorony. W wigilją Zielonych Świątek palą tam ognie «na pamiątkę Zesłania Ducha św.» Chłopcy i parobcy nabijają na wysokie tyki stare miotły i snopki oblane żywicą świerkową, aby się lepiéj paliły, i biegną z nimi pędem pomiędzy zboża wołając w niebogłosy: «Sobótki! Maju! Raju!» — Kiedy snopy dogorywają, gaszą je o zielone jeszcze zboża, wyprawiając przytem krzyki i pustoty, smagając się nawzajem palącymi się jeszcze miotłami. Gdy jeden snop spłonie zakładają na tyki drugi; jeżeli spadnie na ziemię i dokoła ogniem sypnie wówczas oświeci na chwilę migające się na ziemi postacie, które znowu nikną, gdy się na innem miejscu ukaże pochodnia. Ooprócz tego palą przy drogach ogromne stosy naznoszonego przez dzieci jałowcu i suchych gałęzi, ale dopiéro wtedy, gdy każdy już swe pole z pochodniami obieży. Te właśnie stosy zowią Sobótkami. Koło nich gromadzą się nietylko chłopcy i dziewczęta, ale i starsi. Jedni sądzą, że Sobótka jest pamiątką Zesłania Ducha św. inni, że służy do oczyszczenia ludzi i bydła przez ogień i zachowanie tym sposobem chudoby od zarazy i uroków. Jeżeli bydło w ciągu roku choruje, obwiniają pastucha, że nie pędził go około Sobótek.

Śpiewają też przy Sobótkach:

Kto na Sobótce nie będzie
Główka go boleć wciąż będzie.

Śpiewają i inne pieśni, których niestety nie zanotowano. Niedopalone ogary ze stosu gaszą i węgli z nich używają na różne choroby, szczegolnie zaś na «uroki» u ludzi i bydła.

Sobótki trwają późno w noc przez obydwa Święta Zielone.

W «wyżynku» dadzą się wyróżnić trzy akta: przygotowanie kłosianego wieńca, poświęcenie go w kościele, ofiarowanie właścicielowi wsi lub księdzu i połączone z tem tańce i zabawa.

W Olszy pod Krakowem dziewczęta, co żęły na przodzie dostają od dziedzica 30 snopków żyta i przenicy i robią z nich wieniec, wieszając na nim dokoła pierniki, jabłka, gruszki i błyskotki. Wieniec ten kładą na głowę «przodka» tj. tej dziewczyny, która przy żniwie przodowała i idąc do dworu z muzyką śpiewają:

Nasz Jegomość siedzi w ganku,
Raduje się naszym wiankom,
Nasz Jegomość nasz,
Gorzałki nam dasz.

Wszedłszy do pomieszkania, kłaniają się, kładą dziedzicowi wieniec na głowę i śpiewają:

Nasz Jegomość, nasz,
Wyżynek nam dasz,
Bo my się to pośpieszyły,
I wszystko żyto wyżęły
Nasz Jegomość nasz!
Przynosimy plon,
Ekonom nasz pan
A my sie go nie bojemy
Za wrotami postojemy
Niechże robi sam!
Nasz Jegomość, nasz,
Wyzynek nam dasz —
Goniłeś nas po polu z laseczką,
Wynieśże nam gorzałki z flaszeczką.
Nasz Jegomość, nasz
Wyzynek nam dasz —
Goniłeś nas po polu z basiorem,
Wynieśże nam gorzałki z gąsiorem.
U naszego Jegomości zielony podworzec,
Nasz Jegomość, nasza Imość ma pieniędzy korzec,
U naszego Jegomości pszenicęśmy zżęli —
A u pana Dominika wilcy w niej zawyli.
U naszego Jegomości żytko i pszeniczka —
A u pana Dominika owsik i mętliczka.

Tyle w Olszy.

W Krzeszowicach biorą w wyżynku udział tylko ci, co chodzili na robotę do dworu. Dzień przed niedzielą, w którą się ma odbyć wyżynek, wiją dziewczęta wieniec z wszelkiego rodzaju zboża i ubierają go kwiatkami, owocami, piernikami, wstążkami. W niedzielę przyśpiewują pod oknem parobczaki kończącym wieniec dziewczętom. Gdy już wieniec gotowy, zwykle kształtu stożka, z krzyżem u góry, wiązą go do kościoła dziewczęta, świątecznie, jakby do wesela poubierane. Po nabożeństwie poświęca kapłan wieńce, poczem wiozą je do dworu. Zbliżywszy się do bramy śpiewają:

Otwieraj, stróżu, te wrota,
Bo idzie pańska robota.
Zżęliśmy pszenicę, żeżęliśmy żytko,
Spakowali naszéj pani do stodoły wszytko.
A u N. N. (wymieniają jakiegoś sąsiada) dopiero [się kole.
U N. N. zjadły ptaki proso,
Nasza Pani w safianach a N. N. boso.

Oddając wieniec państwu śpiewają:

Pani wieniec przynosimy,
Szczęścia, zdrowia winszujemy,

Przy naszéj robocie,
Nie będzie w kłopocie.

Kiedy złożą wieńce, rozstępują się, a jeden z parobczaków wystąpiwszy naprzód śpiéwa:

Już w stodole żyto i w stogach pszenica,
I z wieńcem dziéwczęta przed domem dziedzica.
Najprzód starszéj Pani do nóg upadamy
I wieniec ze zbioru do nóg jej składamy.
Matkąś naszych ojców i nas zawsze była,
Prosić będziem Boga byś nam sto lat żyła.
Dla młodszych też państwa wieniec przynosimy,
O zdrowie o szczęście Boga uprosimy,
By pociechy z wnuków zdrowo doczekali
By żyli wśród szczęścia, biednym pomagali.
Nie mamy nic więcéj przynieść wam w ofierze,
Jak to com zaśpiewał serdecznie i szczérze.

Występuje potem drugi parobczak, a trzymając do tańca żniwiarkę zwraca się do muzyki i śpiéwa:

Zagrajcie nam po staremu,
Po dawnemu, po naszemu;
Hej chłopcy w podkowy,
Taniec narodowy.

Potem tańczą w koło, a po tańcach otrzymują nagrody. Po ich otrzymaniu udają się na folwark i bawią się do poźnej nocy.

W okolicy Lanckorony uroczystości żniwiarskie już w połowie ropoczynają się żniwa. Kiedy właściciel zjawi się na polu, dziéwczęta porobiwszy sobie słomiane powrósła, biegną doń i wiążą mu ręce śpiéwając:

Jak las wysoki żytko się udało,
Oj będzież za to pieniądzów nie mało.
A pszeniczka na zagonie
Złocistemi kłosy płonie.
Jęczmień i owies błyska barwą świetną,
Wszystko to wszystko sierpy nasze zetną.
A pracowne nasze woły,
Wszystko zwiozą do stodoły.
Potem wymłócim, czeladka pańska
W galarach z szyprem powiezie do Gdańska.
Pięknie zboże się udało,
Będzie pieniądzów nie mało.
Więc chłopcy dziéwki, żywo z siérpem, żywo,
Skończmy co prędzéj rozpoczęte żniwo,
Gdy skończymy raźni, żwawi,
Pan dożynki nam wyprawi.
Dziewoja, która przodkowała u żniwa,
Wesołą piosnkę przed dworem zaśpiéwa,
I wianek z kłosów pleciony,
Wstążeczkami ukraszony,
Strojny kaliną i polnymi głogi,
Złoży z podarkiem przed pańskiemi progi.
Pan wystawi jadła, piwa,
Grajek zagra nutę żywą,
Będziemy hulać do samego rana,
Wielbiąc szczodrotę łaskawego pana,
Panien, paniców i pani.
Ich robotnicy kochani.

Albo:

Panie zacny dobrotliwy,
Jakeś ty nam szczodrobliwy,
Smaczne piwo z twéj piwnicy, —
Smakowite twoje miody,
Bo lipowe twe ogrody, —
Dobre séry i mléczywa,
Twoim krówkom łąk nie zbywa,
Chleby białe, wypieczone,
Gospodarną masz ty żonę.

Pan z więzów założonych nań musi się wykupić, dając im piwa, wódki lub piéniędzy.

Kiedy żniwo zupełnie ukończone sprawia pan *wyżynek*. Dziewczęta robią wielki wieniec z pszenicy, wplatają weń kwiaty i owoce, a potem wybiérają z pomiędzy siebie najurodniejszą, która ten wieniec do dworu zanosi prowadzona pod rękę przez dziarskiego chłopca. Towarzyszący im śpiéwają:

Wieniec kaliną strojny i polnymi głogi,
Składamy panie przed twoje nogi.
Ty wystawisz jadła, piwa,
Grajek zagra nutę żywą,
Będziem hulać do samego rana
Z łaski kochanego pana.
Wiezie miodek, wiezie piwo,
Séry, chleby i mięsiwo,
Do biesiady nas zaprasza,
Śpiewaj mu drużyno nasza.

Potem tańczą śpiewając:

Już pszenicka zebrana,
Przychodzimy do pana,
Przychodzimy do pani,
Nikt nam pracy nie zgani.
Chociaż płynął pot z czoła,
To gromadka wesoła
Piosnkę sobie śpiéwała
I pszenickę zebrała,
Niech się praca opłaci,
Niechaj państwa zbogaci,
A gdy zbierą się grosze
Sypać biédnym po trosze.

Dziedzic częstuje napitkiem i potrawami, rozdaje podarunki, dziękując za gorliwą pracę. Rozchodząc się do domów śpiéwają:

Dzięki Bogu za dożynek,
Tobie panie za spoczynek,
Jużmy pole zwojowali
Na dożynkach pohulali.

W Tarnowskiém (nie podano gdzie) tydzień przed Matką Boską Zielną wiją dziéwczęta cztery wieńce — z żyta, pszenicy, jęczmienia a nawet owsa. Wieńce tę mają kształty koron; ubrane są owocami, karmelkami, wstążkami i bukietami. W święto Matki Boskiéj niosą te wieńce przed kościół, obierają je z ozdób («aby tego ludzie w kościele nie poobrywali») i stawiają przed wielkim ołtarzem. Po poświęceniu ich niosą do dworu, przybrawszy je znowu. «Wieńcule» tj. dziéwczęta, które wieniec robiły, kładą je parobkom na głowy, stają przed gankiem i śpiéwają:

U naszego pana na niwie, na niwie,
Zezęliśmy wszytko zboże, szczęśliwie, szczęśliwie.
U naszego pana, pszenica, pszenica,
A u wojsławskiego belica, belica.
A u nasy pani zielonâ podłoga,
Zjéżdzają sie goście jak do Pana Boga.
U nasego Pana zielony podworzec,
Kto u niego słuzy, mâ piéniędzy korzec,
A u nasy pani malowane ściany,
Niéma ci to niéma, jak u nasy pani.
A u nasy pani firanki zielone,
Bo dâ pani lokajowi słuzącą za zonę,
Bo to z nasy pani dobrâ gospodyni,
Daje wiano szyckiem dziéwkom, z parobkami zeni.

Potem częstowani tańczą z państwem i bawią się długo. Na następną niedzielę urządzają sobie znowu podobne «poprawiny» tylko naturalnie już bez wieńców.

W niektorych miejscach w Krakowskiém sprawiają nawet gospodarze dożynki. Robią więc takie same wieńce, ubiérają je i dają wieniec z żyta gospodarzowi, śpiéwając:

Gospodarzu nasz,
Wyżynek nam dasz!
Bośmy żęli i wiązali,
Do stodoły pochowali,
Gospodarzu nasz!
Niesiemy wianek koło ogroda
Niech wyjdzie gospodarz czyli to prâwda.
Widzą to ludzie
Bo za naszym wieńcem gromada idzie.
Niesiemy wiân,
Koło pańskich ścian,
Kłaniamy się jegomości i jéjmości,
Niechże wezną wiân do swojéj gârzći. (garści)

Otrzymawszy poczęstunek i nagrodę, największą przodownicy rozchodzą się do domow.

(Dokończenie nastąpi).

PRIMAVERA

z życia Dantego przez Elizę Polko. (Powiastka Wielkanocna).

„Miłość mnie wiedzie i dzieło zacząć każe"
Piekło Danta pieśń II.

Spotykamy niekiedy w biografji sławnych ludzi imię kobiece, które ledwo nazwane, znika — podobne do kwiatu zerwanego w przechodzie i odrzuconego zaraz; imię, którego dźwięk pociąga nas i porywa jak melodja z dawnych słodkich czasów, jak woń minionych pięknych dni; musimy nieznaną właścicielkę tego imienia kochać, nie wiedząc dlaczego.

Zdaje się na pozór, iż ono niema żadnego udziału w życiu bohatera, o którym nam opowiadają, a przecie serce kobiece odczuwa związek pomiędzy obojgiem, pewną nierozłączność nawet. Złote niteczki widoczne tylko dla kobiecego oka wiążą jedno z drugiem, — jest to tkanina w tkaninie, rzutka w wielkim wzorze, której tłum nie odnajdzie, a jednak niema nic ponętniejszego jak śledzenie owych linij delikatnych. O niej, poważnej Beatryczy Pontinari, wszechwładnej pani Danta, słyszeliśmy wszyscy; a któż z nas zna życie uroczej Primavery, serdecznej jej przyjaciółki?

Prześliczna Beatricze, młodziuchna małżonka kawalera Simona di Bardi, umarła. Dante Allighieri utracił ukochaną swoją. Miasto nad Arno, Firence la bella, wespół z poetą opłakiwało stratę najpiękniejszej córy.

Zgryzota po śmierci ojca wątłe zdrowie Beatryczy nadwerężyła; w kilka miesięcy po jego zgonie, słodka różyczka zstąpiła do grobu. Młode jej przyjaciółki z spuszczonem wzrokiem, bladem obliczem, błąkały się bez przewodniczki jak stado spłoszonych gołębi, które niema przytułku. Powoli jednak powolutku oswajały się z straszną boleścią — ładne ich oczy błysnęły, usta uśmiechnęły się znowu — w młodych sercach rozpacz długo przebywać nie może. Tylko zaufana przyjaciółka Beatryczy Giovanna, którą z powodu czarującej uprzejmości zwano w Florencji: Primavera, słowa pociechy i zdwojone nadskakiwania niezliczonych konkurentów odrzucała ustawicznie nie przestając płakać za nieobecną. Łzy do tej chwili były rzadkiemi gośćmi w tych śmiejących się zawsze oczach; niemniej wielbiciele pięknej dziewczyny utrzymywali, iż gwiazdy te lśniące w wilgotnym przyćmionym blasku są jeszcze ponętniejsze. Uznawano słuszność jej smutku, lecz wzdychano nad siłą jego i trwałością. Primavera była w istocie nierozłączną towarzyszką zmarłej, a Dante w wdzięcznym sonecie poświęconym sławnemu lubionemu powszechnie Gwidoivi Cavalcanti opiewał te gwiazdy podwójne. Uroczystą «Madonna» przemienił w poezji na miluchną: «Monna» i wysławiał z zachwytem wdzięki «Monny Vanny» i «Monny Bice.»

Jakże często Giovanna obudzała zazdrość w namiętnem sercu poety! Ramię w ramię zawsze ukazywały się przed nim obie, niezrównanego wdzięku i piękności; pochylały się ku sobie, tak, iż ciemne loki Primavery mieszały się z złocistemi włosami Beatryczy. Szeptały w jego obecności jak dziewczęta szepcą, lekkie, niewinne słowa mające pozór głębokiej tajemnicy, śmiały się i spoglądały ku niemu, podczas gdy on iskrzącym wzrokiem szukał ócz ukochanej. A cóż za uroczy był obraz, gdy siedziały przed nim w przedsionku domu Pontinarich, na marmurowych schodach wiodących do ogrodu z założonemi rękami tuląc się do siebie, by słuchać wierszy trwożliwego poety! Cudowne oczy Beatryczy często podnosiły się ukradkiem, aby jak promień prześliznąć się po postaci ukochanego, po jego ciemnej poważnej twarzy z wspaniałem czołem naznaczonem piętnem jasnowidzenia, a biała dłoń dziewczęca, która leżała na sercu, drżała. Muzyka słów jego mieszała się z szelestem fontanny i wonią róż. Jakże zachwycająco brzmiały owe wiersze:

W twe piękne ręce moja droga Donna
Oddam swą duszę przy rozstaniu z światem.

Było to pożegnanie przed bitwą pod Campaltino stoczoną przeciw Aretianom i przed zdobyciem Caprony w czem Dante brał żywy udział. W przededniu odjazdu Primavera była tą osobą, która mu przyniosła bukiet z ukrytym w środku bilecikiem zawierającym słowa: «a rivedérci» — do zobaczenia! Za to miłe poselstwo przebaczył jej wszelkie psoty dziewczęce, które go często z pobliża ukochanej wyganiały, które nawet spowodowały dnia jednego, gdy figlarna przyjaciółka przeszkadzała mu ciągle w rozmowie z panią swych myśli, ów rozpaczliwy wykrzyknik:

Przeklinam dzień, który mi najpierwej
Ukazał oczów twych zwodniczy blask.

Lecz złość i uniesienie nad «zwodniczemi oczyma» roztajały szybko, by śnieg na słońcu przy najbliższem łagodnem spojrzeniu Beatryczy, spojrzeniu owem, z którego miłość przebijała:

Te miłością promieniące duchy.

A Primavera znowu była tą, która poecie o stanie zdrowia ukochanej, podczas choroby ojca wiadomości udzieliła, która opowiadała mu o żalu osieroconej córki — jej to są słowa, które poeta w 12 i 13 sonecie tak pięknie powtórzył. Rój przyjaciółek Beatryczy spotkał Dante — wychodziły z domu, gdzie szlachetny Folco Pontinari ducha wyzionął. Ukochany Beatryczy stanął, aby te lube stworzenia zaczepić, odważył się zapytać o szlachetną panią, uwielbianą królowę swoją. Wtedy Primavera podniosła łez pełne «zwodnicze» oczy ku niemu i rzekła: O ty, który tak często opiewałeś pochwały naszej Beatryczy, jakże zmieniłeś się — ty płaczesz? Ach! czemuż płaczesz? Nie widziałeś przecież łez jej! Nam dozwól płakać za nią, ponieważ my to słyszałyśmy ją mówiącą, widziałyśmy ją pogrążoną w cierpieniu i smutku — słodkie jej oblicze tak zbladło, iż z litości i troski o nią chciałoby się skonać u jej stóp.»

Więcej już Giovanna nie ukazała się ukochanemu Beatryczy, zniknęła w cieniach gabinetu chorej przyjaciółki.

Beatricze umarła. Świat dalej szedł swym torem. Słońce zaglądało przez wysokie okna kościoła św. Jana Chrzciciela (San Giovanni Battista) i rzucało pstre światełka na marmurową posadzkę, pod którą spoczywały zwłoki najpiękniejszej z Florentynek — Nie mówiono już o niej jak dawniej — życie, słodkie bogate życie w Florencji upominało się o swe prawa — zrzucono żałobę — modlono się za zmarłą i oczekiwano niecierpliwie nowej Canzony sławnego poety, wzruszających zwrotek nad jej zejściem, nad jego wzniosłą ofiarą miłości, aby płakać świeżemi łzami na jej grobie. Ale miasto nad Arno czekało nadaremnie, żaden głos nie wyszedł z celi poety — dom przy Strada Riccarda był zamknięty, okna zasłonione czarną oponą. Nadaremnie przyjaciele pukali do jego drzwi, stary sługa wzbraniał każdemu wstępu. Tylko sędziwy nauczyciel jego, ojcowski przyjaciel, sławny Brunetti Latini i lubiony rzeźbiarz Giovani Pisano, wcisnęli się do niego, by być świadkami bólu jakiego może nigdy dotąd serce męzkie nie odczuwało. Z przerażeniem patrzali na zmienionego przyjaciela, który żywcem zagrzebywał się z cierpieniem swojem.

Napróżno wysilali się obydwaj, aby samotnika wyrwać z smutnych rozmyślań, napróżno zaklinał go Pisano, by starał się ból pokonać. «Powróć do świata, który tęskni za tobą i na rękach nosić cię będzie — prosił — jeszcze jest dość pięknym, aczkolwiek Beatricze piękniejszy zamieszkuje. Niebo nad Florencją nosi ciągle nieporównany płaszcz lazurowy, Arno błyszczy by srebro prawdziwe; liść na drzewie i krzewach jest świeży; słońce rozsypuje złoto pełnemi rękoma — powietrze wonieje wiosną — i najpiękniejsze kobiety oczekują sławnego wieszcza, aby z nim

żalić się i go pocieszać. Opiewaj swoje niebiańskie zmarłe — lecz żyj między żyjącymi.»

Wszystkie prośby niestety! były nadaremne, — Dante nie słuchał błagania przyjaciół. Po całych dniach siedział jak przedtem, w pokoju osłoniętym kirem przy płonącej świecy, z ołówkiem w ręku, czyste kartki leżały przed nim, lecz on spoglądał w ciemność, rozpacz jego była bez jęku i bez łez.

Spał i jadł nie wiele—rozrośnięte włosy i broda pomierzwiły się jak u dzikiego — postawa jego była złamaną, wyglądanie opuszczone—robił się pomału, jak Pizano opowiadał swcim przyjaciółkom uroczym: «dziko wyglądającem zjawiskiem.» Ból szlachetną postać poety zmienił do niepoznania.

Dante Allighieri czuł zaledwo ową zastraszającą zmianę; żył tylko przeszłością, marzył ciągle o uwielbianej, która go na zawsze bez pożegnania opuściła —każda chwilka spędzona w jej pobliżu, cała historja jego namiętnej a czystej miłości, stała palącemi głoskami wypisana mu w duszy. Widział ją znowu — swoją Beatriczę, wśród wesołych towarzyszek w ojcowskim ogrodzie, dziecię ledwo ośmioletnie w białej sukience i w purpurowej przepasce na czole; nieśmiały chłopiec stał zdaleka, czuł jednak jej wejrzenie, jej uśmiech. Podała mu kwiaty, wziął bukiet z rączek maluchnych, od dnia tego pokochał ją. Wzrastała w laty wielbiona, a głęboka nieugaszona miłość w sercu poety rosła z nią. — Zawsze i wszędzie zdala od Florencji przy poważnych studjach w Padwie, w wrzawie bitwy, gdzie dłoń poety tak walecznie mieczem wywijała, obraz jej stał przed duszą jego, — w namiętnych zwrotkach opisywał wdzięk tej miłości. A gdy ją znowu zobaczył jako młodą małżonkę Simona di Bardi, któremu z woli ojca rękę oddała, przestraszył sie niemal jej majestatycznej piękności:

Dumna piękna, jak paw,
Smukła, szlachetna jak czapla.

Złociste loki okalały delikatne oblicze, czoło było poważne i szlachetne, ciemne oczy miały wyraz surowo-łagodny.

W mej Donny oczach Amor mieszka sam,
Bo gdzie spoglądnie, wszystko zmienia ton
Gdziekolwiek idzie, każdy patrzy tam
Gdy powie słowo serce drży jak dzwon.

Nic nie było słodszego na ziemi nad uśmiech jej ust, przy którym w małym podbródku uwidoczniał się ozdobny dołeczek; śnieżna szyja szlachetnie nosiła piękną głowę, wspaniałe ramiona delikatny biust były jak wyrzeźbione. Smukłe alabastrowe ręce wynurzały się z fałdów niebieskiej srebrem przetkanej szaty, w którą lubiła się stroić. Kosztowne pierścienie i branzolety zdobiły jej paluszki i ręce, a maluchne stopy dźwigały wysoką postać. Nie było żadnego błędu w niej — czarodziejce — a przecie światło jej życia zagasło! Po cóż on żyć ma jeszcze w tej nocy? Źródło poezji zdawało się wysychać — przyjazna muza opuściła go: Dante Allighieri pragnął umrzeć.

A tam na świecie obchodzono wielką uroczystość Zmartwychwstania, w powietrzu brzmiało coś jakby śpiew wesoły chórów anielskich, powiew wiosny ożywiał wszystkie kiełki, strumień nowego życia szumiał w całej naturze.

Było to w Wielkanocny poranek, gdy chory poeta znowu po bezsennej, męczącej nocy przechadzał się w zaciemnionym pokoju. Blask świec rzucał matowe połyski w jego śmiertelnie blade oblicze, obramowane splątaną czarną brodę — i na pochyloną postać. Dźwięki dzwonów obiły się o ucho jego, wstrząsł się: były to dzwony z Battisteria, a brzmienie ich przypomniało mu dzień, w którym ukochaną złożono w zimne kamienne łoże. Żal owładnął nim jak nigdy przedtem, poddał się rozpaczy, w końcu w pół omdlały upadł na kolana i kryjąc oblicze w dłonie, wymówił imię zmarłej z akcentem beznadziejnego bólu. Wtem przestraszył go cichy szelest, słodki zapach kwiatów powiał ku niemu, tak silnie i pociągająco, iż musiał podnieść głowę i otworzyć znużone oczy. Byłże to sen czy rzeczywistość? Tam obok stolika w całym uroku świeżej, pełnej życia piękności stała Giovanna, ukochana przyjaciółka zmarłej. — Wprawdzie coś jak cień żałoby okrążało jej usta wdzięczne, coś jak łzy błyszczało w dużych jej oczach, policzki były blade, lecz wargi uśmiechały się. W ręku trzymała bukiet z wiosennych kwiatów, taki sam jaki niegdyś maluchna Beatricze podała Dantemu, gdy był chłopcem. W wonnem kwieciu pomiędzy młodemi listkami, ukrywała się kartka z napisem: «a rivederci.»

— Ponieważ nie chcecie przyjść do wiosny, więc wiosna przychodzi do was, by was powołać! — rzekła cichutko—Dante Allighieri wstańcie — Beatricze to pozdrawia was w rozsianych wspaniale świeżych skarbach natury. Czyż nie odnajdzie tam swego poety? Oczekuje na was! Chcecież ją widzieć?

Mimowoli podniósł się schylony, oczy jego błądziły w około, jakby w sennem marzeniu. Raptem mała ręka dziewczęca, zerwała czarne zasłony — Giovanna otwarła okno, złote strumienie zalały celę poety, ciepłe orzeźwiające powietrze upoiło mu zmysły; tam w górze świecił lazur niebieski głęboko i powabnie jak szata ukochanej, a w iskrzące te światła i barwy mieszały się pełne, poważne tony dzwonów z wszystkich kościołów. Dźwięk ich teraz był inny, głosy łagodne i pocieszające, nie wołałyż wyraźnie: żyj, kochaj i bądź szczęśliwym?

— Dlaczego dzwonią tak szczególnie?—spytał Dante i spojrzał ku owej postaci, która by żywe wcielenie wiosny stała przed nim w blasku słonecznym, «Monna Vanna» — nie «Primavera» urocza.

— Dzwonią ogłaszając Zmartwychwstanie Pańskie — dziś jest Wielkanoc! brzmiała uroczysta odpowiedź.— I Dante Alighieri także zmartwychwstanie! Dłużej już cierpieć nie powinien, tak chce Beatricze i — Primavera!

— Ale wyście także z jej powodu cierpieli — szepnął poeta jak we śnie — oczy jego spotkały cudownie piękne «zwodnicze» oczy dziewczyny, a przeźroczysta dłoń dotknęła zlekka gorącego jej czoła.

— Cierpiałam — rzekła Primavera drżąc i rumieniąc się— wylewałam łzy, ale nie nad zmarłą Beatriczą — ona jest w niebie! — płakałam nad wami Dante Allighieri!

W ową niedzielę Wielkanocną wielka dusza poety zmartwychwstała z grobowych ciemności dzikiego bólu — a była to pełna ciepła ręka dziewczęca, która go w jasne światło wprowadziła — Owej niedzieli Wielkanocnej utworzył on pierwszą strofę na zgon Beatriczy:

Tak! Beatricze weszła już w błękity
W niebo, gdzie w ciszy skrzydłami szeleszcze
Cherubin tylko. Z objęć wam wyrwana.
Lecz ją nie febry ztąd schwyciły dreszcze
Ni żar słoneczny jak inne kobiety. —
Łagodne czyny, dobroć niezrównana
Pokora — co ją wdziękiem tu stroiły
Przez strop gwiaździsty blaskiem się przebiły,
Tak, że ściągnęły na siebie wzrok Pana.
Gdy Bóg zoczył te dziwy
Wziąć postanowił ów obraz cnotliwy.
Rozkazał zaraz zamieszkać jej w niebie,
Bacząc, że padół płaczu nieszczęśliwy
Nie wart by klejnot taki miał u siebie.

Primaverę sławi Dante w sonecie, gdzie nie wymieniając nazwiska mówi o: «miłej pięknej istocie,» która go podglądnęła gdy mniemał, iż znajduje się sam tylko z Bogiem i boleścią swoją:

Była bledziuchną, oczy jej pływały
We łzach, jak gdyby pokochała mnie.

To jest jedyna złota nitka, która do owego uroczego zjawiska prowadzi. Ona kochała go — któż wątpiłby o tem? Istność jej odtąd tylko samotnikowi poświęconą była. Błyszcząca piękność znika z widowni świetnych uroczystości w Florencji, by cicho żyć w cieniu, jako delikatna, cierpliwa pocieszycielka i przyjaciółka poety. Życie to było bez wątpienia krótkie, jak światło słonecznego promienia; — tajemna słodka ofiara miłości! Błogosławmy ową małą rączkę, która kamień bólu zdjęła z duszy poety i poświęćmy bukiet wiosennych kwiatów na Wielkanoc dla «Primavery.»

Zapiski T. Lipińskiego

Ciąg dalszy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Październik. Wspomniałem powyżej, iż Maurokordato wyjednał u W. Ks. umieszczenie swoich dwóch synów w szkole applikacyjnej. W chwili, gdy ich egzaminował z nauk podpułk. Kołaczkowski, dyrektor nauk tejże szkoły, wchodzi ich brat kornet gwardji artyl. konnej i mówi do podpułkownika, iż naprożno zadaje sobie pracę, gdyż skoro W. Ks. ich przeznaczył do szkoły, przeto badanie ich usposobienia jest zbyteczne, a gdy go ciągle niepokoił, zniecierpliwiony dyrektor wskazał mu drzwi, aby się oddalił. Gdy się na takowy postępek uskarżał przed swymi współkolegami książe grecki, ci go nakłaniali, aby wyzwał podpułkownika na pojedynek. Jakoż porucznik artyllerji ros. Wróbel, jako sekundant, wyzywał Kołaczkowskiego; ten przyjąwszy wezwanie, zawiadomił o tem W. Ks., który obu oficerów zdegradował na żołnierzy za to, że się poważyli wyzwać starszego rangą, a nadto przełożonego swego, gdyż oba ci oficerowie zostawali przy szkole applikacyjnej.

Dnia 3 w nocy przybył tu W. Ks. Michał.

Senator Sumorokow zwiedza zakłady naukowe, o wszystko troskliwie bada i zapisuje. Będąc w bibliotece, przepisał napis na tablicy marmurowej umieszczony założenia uniwersytetu i biblioteki, dalej napis u popiersia ks. Adama Czartoryskiego, spisywał też najdawniejsze rękopisma itd. i wziął do przejrzenia dzieła tyczące się Polski, mianowicie do rozbioru kraju się ściągające, jakoteż i mapy.

Cesarz i król nadał szefostwo 3-go pułku linjowego, nowo narodzonemu synowi.— Pułk ten odtąd nosić będzie tytuł: Jego Cesarzewiczowskiej Mości W. Ks. Konstantego N. 3.

Książe Lubecki obszernie się rozpisał, odpowiadając na zarzuty uczynione mu w referacie refer. Hubego, a nadto dokazał, iż tenże Hube został zawieszony w urzędowaniu i skłonił powolną radę admin., iż mu wygotowano dymisję i oddano pod sąd. Już zdawał się tryumfować nasz dyktator, gdy znalazł nowy opór, zastępujący bowiem ministra sprawiedl. radca stanu Woźnicki, wzbronił się kontrasygnować dania dymisji. Rzecz cała odesłana do Petersburga, wzbudza powszechną ciekawość, jaki weźmie obrót, tem bardziej, iż w tych dniach udaje się do cesarza osobiście minister skarbu z przełożeniem budżetu i nowych projektów.

Umieściłem w miesiącu sierpniu o oddaniu pod sąd krym. kilku obywateli z wdztwa kaliskiego. Niewiadomo nam jaki obrót wzięła ich sprawa, lecz przed dwoma tygodniami, odesłano do domu jednego z nich Mich. Gurowskiego. Zalewie stanąwszy na miejscu, zaraz wzięty został i wraz z rekwizytami, niezważając, że jest jednooki, dostawiony do Warszawy. Zjechała za nim matka, lecz nadaremne były jej starania i stawienie zastępcy, jak to wyraźnie prawo dozwala. Będąc trzymany przez dni kilka z mnóstwem rekruta zasłabł niebezpiecznie, nie miano na nic względu, podgolono głowę i przeznaczono do 3go pułku ułanów; nadto oficer prowadzący ten odział do Międzyrzeca, najściślejsze miał polecenie, aby Gur. wraz z innymi szedł piechotą. Gdy oddział miał wychodzić, Gur. tak był osłabiony, iż lekarz wojskowy odesłał go do lazaretu. Wpada nazajutrz jenerał Rożniecki, grozi ukaraniem za niedopełnienie woli Najjaśniejszej itd., dosyć, że wsadzają Gurowskiego na wóz z żandarmem, o parę mil dopędzają oddział i oddają na wpół żywego, z poleceniem trzymania się ściśle poprzednio wydanego rozkazu.

Pogodną i ciepłą mamy jesień — codziennie odbywają się wielkie parady, lub musztry za miastem. W. Ks. Michał ciągle przybrany jest w mundur polski, jako szef 1-go pułku linjowego.

Dnia 21 Członkowie Towarzystwa resursy kupieckiej dawali wielki obiad, na który zaprosili Nowosilcowa, konsulów i senatorów z Petersburga przybyłych.

Dnia 22 W. Ks. Michał wyjechał do Petersburga, nasz W. Ks. odprowadzał brata o kilka mil.

Postanowieniem cesarskiem, żołnierze i oficerowie z cesarskiej kompanji gwardji pieszej i konnej, wychodzący ze służby, nosić mają na piersiach z metalu wyrobioną literę A. obwiedzioną podobnymże laurem. Takaż oznaka pozłacana służy oficerom z tychże kompanij przechodzącym do weteranów lub inwalidów.

Listopad. Dnia 1 minister skarbu książe Lubecki przyjąwszy błogosławieństwo u Karmelitów na Lesznie, udał się do Petersburga z budżetem i rożnemi projektami. W świcie jego znajdują się referendarze: Jelski i Łęski, pracujący przy jego boku Leon ks. Sapiecha i sekretarz Bouquet. — Na wydatki podróży zaasygnował sobie tylko 40.000 złp.!!

W sprawie uwięzionych za przewinienia polityczne najmniejszej nie mamy wiadomości — nie słychać też kiedy się rozpocznie ów sąd sejmowy. — Gazeta paryzka le Constitutionel wyraziła: «ils sont à plaindre, mais pas à blamer.»

W tych dniach zamianował cesarz arcybiskupem Pawła Woronicza, biskupa krak., który oczekuje z Rzymu potwierdzenia swej nowej godności.

Zawiązane Towarzystwo Oszczędności, zostało w tych dniach potwierdzone przez radę admnistr. Ze strony rządu przydany został komisarz, a tym jest Wyczechowski, prezes sądu apellacyjnego. Twórcą i prezesem tego stowarzyszenia jest Henryk Łubieński. — Życzyć należy, aby jak najwięcej miało zwolenników, mianowicie ze średniej i uboższej klasy, co byłoby dla nich samych z korzyścią, a nawet i dobrodziejstwem, byleby się tylko o użyteczności tego towarzystwa przekonać chcieli.

Cesarz uczynił dar do gabinetu historji natur. przy uniwersytecie ze słonia. Już nadeszły trzy wozy obładowane szkieletem

tego zwierza.—Przeszłego miesiąca otworzony został gabinet anatomiczny przy wydziale lekarskiem. Co niedziela bywa otwarty, napływ odwiedzających jest tak wielki, iż z trudnością można się dostać do sali pięknie urządzonej.

Przybył tu z Rzymu, dokąd jeździł na jubileusz, senator ros. Jliński, obywatel z Wołynia. Człowiek ten podeszły, nader jest pobożny, dumny, arystokrata i w wielkim stopniu dziwak. Jeźli oddaje wizytę, przybiera na siebie wszystkie ordery, będąc nawet w kościele zawiesza je na sobolowej szubie; zwykle jest prowadzony przez duchowną osobę, służący zaś poprzedza go z amarantową aksamitną poduszką, obszytą galonami, która mu służy do klęczenia. Był on w wielkich łaskach u cesarza Pawła poważał go ś. p. cesarz, nie odmawia swych względów i W. Ks. Codziennie bywa na obiadach w Belwederze, poczem po kilka godzin spędza na rozmowie z księżną Łowicką o nabożeństwie, o miejscach świętych itp.

Grudzień. Dnia 1 jako w rocznicę zgonu ś. p. cesarza i króla Polaków po wszystkich świątyniach odbywało się nabożeństwo żałobne.

Dnia 4 przypadło publiczne posiedzenie Towarzystwa P. N. Od lat dwunastu jak jestem w Warszawie nie widziałem tak świetnego grona słuchaczów — znajdowali się najpierwsi kraju urzędnicy, lecz co większa, wszystkie prawie wielkie nasze damy i trzech senatorów ros. — Zajmujący był widok grona uczonych mężów; przewodniczący im szanowny Niemcewicz miał obok siebie nominata arcybiskupa Woronicza i Prażmowskiego, biskupa płockiego; za nimi jener. Winc. Krasiński, kasztelan Jan Tarnowski i inni. Piękny wiersz Koźmiana o ziemiaństwie, wybornie deklamowany przez Ludwika Osińskiego, wszystkich zachwycił.

Słychać, iż sąd sejmowy ma się rozpocząć 13 b. m. Każdy z uwięzionych obrał sobie obrońcę.

Nadeszłe listy z Petersburga donoszą o łaskawem przyjęciu ks. Lubeckiego.— Wznawiają się wieści, iż przepisane zostaną dla każdej komisji rządowej i innych władz, oddzielnego koloru mundury; słychać też, że Lubecki ma przedstawić cesarzowi monopolium na kawę i cukier.

Postanowieniem cesarskiem zwołane zostały sejmiki, co robi nam nadzieję oglądania Naj. Pana z nadchodzącą wiosną.

Dnia 12 przybył Karol Lipiński, sławny skrzypek. Zwiedzał on rożne kraje europejskie, wszędy z uwielbieniem słyszany. Grywał w różnych miastach polskich, nie wiadomo zaś dla jakich powodów unikał dotąd Warszawy i pierwszy raz tu zjechał w zamiarze dania kilku koncertów.

Sąd sejmowy podobno odłożony został do 15 p. m. z powodu nieukończonych obron przez mecenasów.

Dnia 14 po kilkotygodniowej przerwie odbyła się parada na placu Saskim i W. Ks. się znajdował.

Dnia 16 na placu Saskim uroczyście poświęcone zostały dwa sztandary, przysłane z Petersburga dla pułku huzarów gwardji rosyjskiej.

Głośno mówią, iż książe Lubecki ma zostać namiestnikiem i o różnych zmianach w ministerjach, rozchodzą się też wieści o bliskiej wojnie z Austryą.

Prawie co roku W. Ks. wybiera z rekrutów kilku pięknych i dorodnych ludzi, którzy szczególnych łask jego doznają. Z tegorocznego naboru polubił dwóch grenadjerów z 4 pułku; co niedziela muszą się stawić w Belwederze, rozmawia z nimi, musztruje, potarga za uszy, każe im dać wódki, częstokroć kawy, i dobry obiad, poczem dawszy im po kilka złotych, odsyła ich do koszar swoim koczem.

Dnia 21 pierwszy był koncert Lipińskiego. Przed godz. 5tą teatr był w oblężeniu od publiczności; potrzebaby było trzykroć obszerniejszego miejsca, aby zdołało objąć słuchaczy. Żaden z artystów nie był huczniej i z tak wielkiem przyjęty uniesieniem. — Loże i krzesła, a nawet większą część biletów parterowych, już zakupiano na przyszły koncert.

Dnia 24 odbył się osobliwszy swego rodzaju pogrzeb Błażowskiego kasjera jlnego Królestwa. Wyraził on był w testamencie, aby zwłoki jego złożono na wóz pierwszego, jaki się nastręczy woziwody, któremu się wypłaci złp. 200 za zawiezienie na miejsce ostatecznego spoczynku. — Egzekutorowie wszakże testamentu i przyjaciele sprawili przyzwoity pogrzeb, dopełniając jednak w części wolę nieboszczyka, postępował tuż za karawanem jednokonny woziwoda, któremu wypłacono powyższą kwotę. Był to urzędnik nieskazitelny w kilkunastoletniem urzędowaniu swojem; przy obrachunku kasy po jego zgonie, znaleziono wszystko w zupełności i porządku należytym; był bezżenny, a lubo pobierał 12000 złp. pensji, nie zostawił majątku, gdyż lubił dobrze żyć; przy spisie inwentarza, oprócz sprzętów, znaleziono kilkaset złotych i beczkę wina.

Zabrzmiały gazety nasze pochwałami gry Lipińskiego, wszędzie, gdzie się tylko ruszysz, słyszysz powtarzane jego nazwisko, prasy litograficzne zajęte są wytłaczaniem jedo wizerunku, pisma publiczne ogłaszają jego biografją. Pierwsze domy ubiegają się w przyjęciu go, a mianowicie jenerałowie rossyjscy dają dla niego obiady i wieczory. Resursa kupiecka przyjęła go za swego członka honorowego i dała świetną ucztę, na której spełniano pochlebne dla rodaka naszego toasty.

Literaci nasi oceniając talent Lipinskiego, dali dla niego obiad dnia 30, na którym znajdowali się najznakomitsi sławą literacką, jakoteż dostojnością w społeczeństwie uczeni, wielu członków Towarzystwa Przyj. nauk, profesorów uniwersytetu, kilku młodych pisarzy odznaczających się w zawodzie poezji i nauk, tudzież redaktorowie pism perjodycznych. Liczba osób dochodziła do 50. Patryarcha uczonych naszych, czcigodny Niemcewicz, wystawiwszy jak drogą jest dla rodaków chwała przez Lipińskiego nabyta, która wpływa na wszystkich jego współziomków; na okazanie mu powszechnej życzliwości, wniósł toast za jego zdrowie. Fr. Dmochowski czytał wiersz z tejże okoliczności napisany, Gosławski zaś deklamował za długie i napuszone wiersze w tymże samym przedmiocie. Gospodarzami i twórcami myśli tej biesiady byli: Dmochowski i referendarz Ludw. Chłędowski, bibliotekarz Uniw.

ROK 1832.

Styczeń. W wilję N. Roku damy nasze wybierały się złożyć powinszowania księżnie Łowickiej, lecz oświadczono im, że księżna nie przyjmuje.

Dnia 9 senatorowie zgromadzili się po raz pierwszy w pałacu Krasińskich, jako w miejscu przeznaczonem na sąd sejmowy. Sesje te przygotowawcze trwać mają dni kilka, dla uznania czy wszystko jest w pogotowiu do rozpoczęcia sądu.

Sesje przedsądowe zrobiły wrażenie na publiczności, karnawał zdaje się, iż będzie posępny. Zwykle co sobota jest wie-

czór tańcujący w resursie; z powodu zaś teraźniejszych okoliczności miała być przerwa, o czem dowiedziawszy się policja posłała do komitetu resursy z oświadczeniem wyraźnem, aby przerwy w zabawach nie było. Mimo tego mało kto chciał dnia tego tańcować.

Dnia 12 jenerał ros Rychter dawał bal, na którym W. Ks. z księżną Łowicką, oboje tańcowali i zachęcali do zabawy.

Od N. Roku chwyciły przymrozki, i wzmogły się tak dalece, że dnia 15 było stopni zimna 22, a dnia 16go 2 .

Dosyć u nas krąży wieści o bliskiej wojnie z Turkiem, ale nierównie więcej wyczytujemy szczegółów nas się tyczących w gazetach francuskich, a mianowicie niemieckich. Gazeta hamburska wyszczególnia nawet jenerałów i ilość pułków, któremi dowodzić mają. Inne pismo donosi, iż niektóre piesze pułki stanęły już na granicy Galicji; wszystko to są baśnie gazeciarskie.

Dnia 17 ukończyły się sessje przedsądowe, trwające przez dni kilka od rana do wieczora, Prokurator czytał akt oskarżenia. Sąd sejmowy ma się rozpocząć na początku Kwietnia. Przez te kilka dni, oprócz zwykłej warty na placu Krasińskich występowała kompanja piechoty, oddział jazdy, żandarmy i mnóstwo policyjnych sług, którzy nie pozwalali nikomu zatrzymać się na ulicy Miodowej i Długiej stykającej się z dziedzińcem Krasińskich, a tem mniej, aby dwóch z sobą rozmawiało. Czegóż się dopiero spodziewać, kiedy obwinieni będą uwięzieni w czasie rozpoczętego sądu — wtedy chyba i na ulicę wyjść nie będzie można.

W tych dniach kasa jlna wypłaciła 2 miljony złp. komisji wojny, rachunek z tej sumy ma być samemu cesarzowi zdany. Słychać, iż w tych dniach mają brać rekrutów.

W dzień N. Roku odebrał p. Zamojski list z wypisaniem na kopercie wszystkich jego tytułów; między innemi było wyrażone: Prezesowi tajnej komisji śledczej. Rozpieczętowawszy znalazł ośm biletów od owych ośmiu poddanych pod sąd sejmowy, z nader nieprzyjemnem życzeniem rozpoczynającego się roku. Nie można z pewnością wiedzieć co było na nich wyrażone, dosyć, że mocno to go obeszło i dotknęło. Również nie docieczono kto jest tego sprawcą.

Dnia 21 w nocy brano tu do wojska; tą razą pobór rekrutów w kraju wynosił 3500, w jesieni zaś 6000 głów. Słychać, iż za parę miesięcy nowy ma nastąpić pobór. Wszystko to zapowiada nan bliską wojnę. Niektóre pułki piesze podostawały dłuższe pałasze, mogące żołnierzowi służyć ku obronie, gdyż dotąd prawie tylko były dla formy.

Dnia 28 komendant placu ros. jenerał Lewicki dawał bal. W. Ks. wraz z księżną Łowicką byli obecni.

Luty. Dnia 2 wyjechał W. Ks. do Petersburga, poprzedzili go jenerałowie ros.: Rychter, Albrecht, Pęcherzewski.

W tych dniach pośpieszył do Wilna Nowosilcow, — słychać, że odkryto tam między uczniami tajne Towarzystwo pod nazwiskiem braci Szkaplernych. Uważamy to za płonne wieści.

Dnia 4 było niezwykłe zgromadzenie swego rodzaju u ministra oświecenia, czyli jak go powszechnie zowią *ociemnienia* ,Grabowskiego. Chcę tu mówić o wieczorze, na którym znajdowało się siedmiu biskupów i kilku sufraganów, prałatów, kanoników, zaproszonych, aby słyszeli grającego Lipińskiego.

(C. d. n.)

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Sprawozdanie komissji oceniającej konkursu na illustracje do sceny 3-ciej aktu I-go Balladyny Słowackiego.

Komissja wezwana do ocenienia nadesłanych rysunków na konkurs artystyczny Koła literackiego zebrała się dnia 7 Października w lokalu Koła i przystąpiła do powierzonej sobie czynności. Oprócz p. Bronisława Abramowicza, który nie mogąc znajdować się na posiedzeniu pisemnie swoją opinję o pracach konkursowych wyraził, wzięli osobiście udział w dyskussji i głosowaniu wszyscy członkowie komissji, a mianowicie pp. Adam Asnyk, Michał Bałucki, Kazimierz Bartoszewicz, Ludomir Benedyktowicz, Walery Gadomski, Juljusz Kossak i Leopold Löffler. Przewodniczącym komissji wybrano p. Juljusza Kossaka, sprawozdawcą p. Kazimierza Bartoszewicza.

Postanowiono przedewszystkiem usunąć od głosowania prace nieodpowiadające w zupełności wymaganiom artystycznym, a mianowicie rysunki oznaczone godłami: „Juljusz,“ „Ars longa vita brevis“ i „Patrz w duszę i wybieraj.“

Po uskutecznieniu tego, przystąpiono do krytycznych uwag nad pozostałemi pięciu rysunkami z godłami: „Kotwica,“ „Kostryn,“ „Skierka,“ „Gopło“ i z monogramem K. S.

Rezultat krytycznych spostrzeżeń wypadł jak następuje:

Praca z monogramem K. S. zaleca się bardzo dobrym i wykończonym rysunkiem. Znać w jej autorze wytrawnego rysownika, posiadającego nietylko talent, ale i artystyczną rutynę. Wadą główną, która pracę tę pozostawia w tyle za innemi, jest złe pojęcie przedmiotu. Wspaniałe postacie Balladyny i Aliny straciły cały swój urok pod ołówkiem rysownika, przedstawiającego je jako dwie dziewczyny o grubych rysach i brzydkich kształtach ciała. Najlepiej pojęta jest postać Kirkora. Skierka za to przypomina gipsową statuetkę amorka. Całość jako obrazek rodzajowy jest bardzo dobra, ale jako illustracja Balladyny niemożebna.

Rysunek z godłem: „Kotwica“ znaleziono bardzo słabym tak pod względem perspektywy, jakoteż i proporcji. Przeważa w nim konwencjonalność w pojęciu przedmiotu i wykonaniu. Postacie Aliny i Balladyny zalecają się tylko ładnemi główkami, — są to tęgie i zgrabne wiejskie dziewoje, lecz bez wyrazu, dobre do mazura, ale nie na bohaterki poematu. Najgorszym jest Kirkor, którego pozycja całkiem dla widza nie jest zrozumiałą: niewiadomo czy siedzi na ławie, czy opiera się na niej, wyciągnięty w ten sposób, że musiałby stracić równowagę; jest przytem za długi.

Całkiem inaczej przedstawia się rysunek „Gopło.“ Piękna kompozycja łączy się z dobrem artystycznem wykonaniem. Wieje z niej dużo poezji, powagi i prostoty. Zarzucono postaciom Aliny i Balladyny pewną greczyznę w układzie draperyj, powstałą zapewne pod wrażeniem studjów klassycyzmu. Wybornie, znakomicie można powiedzieć, pojęty jest Skierka. Artysta nie zrobił z niego jak inni zwykłego amorka, ależ już prawie młodzieńca; nie nie buja on po powietrzu, lecz odpoczywa zdaleka z miną zadowoloną, pewny skutku rzuconych przez siebie czarów. Mniej dobrym uznano Kirkora, choćby już dlatego, że jest w ubraniu husarskiem, w czem zresztą spotyka się autor z większością konkurujących. Zapomnieli oni widocznie, że Goplana wysyła Skierkę, aby zaprowadził do chaty wdowy pana ustrojonego „w złote szaty, jako do ślubu — bez oręży“ i przedstawiają go „w saraceńskiej zbroi ze skrzydłami,“ jak odwiedzał chatę pustelnika. Postać matki u autora Gopła jest najsłabszą, nie pod względem wykonania, które mało pozostawia do życzenia, ale pod względem pojęcia kreacji. Trudno w jej rysach, ubraniu i postawie poznać ten idealny typ poczciwej i prostej staruszki. Całość pełna artystycznej finezji.

Autor rysunku „Kostryn“ najlepiej może pojął tragedję Juljusza. Obie główne postacie dziewcząt są pod tym względem bez zarzutu. Efektowne wydobycie światła potęguje wrażenie. Szkoda, że rysunek nie odpowiada pojęciu. Lubo bardzo staranny i na oko wykończony posiada kardynalne wady w proporcjach. Nogi Kirkora oddalone są od siebie na kilka łokci; — na olbrzymiem ciele spoczywa mała głowa. Perspektywa słaba, brak powietrza widoczny. Akcessorja wybornie wykonane.

Ostatni wreszcie rysunek „Skierka“ uznanym został za konwencjonalny w układzie i pojęciu postaci. Kirkor zwłaszcza jest przystojnym i zgrabnym młodzieńcem, z dworu Ludwików, ale nie „mężem ze stali, panem czterowieżowym;“ figura ta zresztą wyborna w ruchu jest bardzo sympatyczną i ładnie narysowaną. Główki dziewic słabe. Martwa natura bardzo ładnie traktowana, zwłaszcza draperja stołowego przykrycia. Całość jako obrazek rodzajowy ma wartość artystyczną.

Streszczone opinje większości członków komisji były podstawą ostatecznych narad nad rozdaniem nagród. Jednomyślnie usunąwszy jeszcze z pod głosowania rysunek z godłem: „Kotwica,“ jako nieodpowiadający warunkom lubo nierównie lepszy od poprzednio usuniętych, — zastanawiano się przedewszystkiem nad tem: czy przyznać wszystkie trzy nagrody jak opiewa

ogłoszony konkurs, czy też według wniosku p. Benedyktowicza poprzestać na udzieleniu dwóch drugich. Pięcioma głosami przeciw trzem uchwalono ściśle zastosować się do ogłoszonych warunków konkursu.

Wynik głosowania był następujący:

Nagrodę 350 złr. z obowiązkiem dostarczenia czterech dalszych rysunków i prawem do tantjemy od sprzedanych egzemplarzy przyznano 6cioma głosami rysunkowi z godłem „Gopło.“ Jeden głos otrzymał „Kostryn“ — jeden z członków wstrzymał się od głosowania.

Dwie nagrody po 75 złr. przyznano rysunkowi z godłem Kostryn (6 głosów) i rysunkowi z monogramem K. S. (5 głosów). Rysunek „Skierka“ otrzymał 4 głosy. Jeden z członków głosował tylko za jednym rysunkiem.

Wobec tego wyniku, większość komissji uznając, że rysunek z godłem „Skierka“ nie stoi niżej pod względem wartości od wyszczególnionych drugą nagrodą, a tylko przez konieczność wyboru między trzema równie dobremi rysunkami został losem pominięty, postanowiła upraszać komitet „Koła,“ aby rysunek ten nabył na własność.

Po otworzeniu kopert z nazwiskami okazało się, że autorem rysunku „Kostryn“ jest p. Piotr Stachiewicz mieszkający w Monachium, autorem zaś rysunku z monogramem K. S. p. Juljan Maszyński z Warszawy. Nazwisko autora rysunku wyszczególnionego pierwszą nagrodą (Gopło) nie jest dotychczas znane, gdyż artysta nie dołączył stosownej koperty. To tylko wiadamo, iż rysunek nadszedł z Petersburga.

Kraków 9 Października 1882 r.

Juljusz Kossak
przewodniczący.

Kazimierz Bartoszewicz
sprawozdawca.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Dr. Teofil Ziemba. Estetyka poezji. Kraków, nakładem autora. 1882.

Dr. Ziemba przedsięwziął w powyższém dziełku wyłożyć popularnie prawidła estetyczne odnośnie do poezji, aby na nich ogół kształcił swój gust dobry, którego brak autor we wstępie konstatuje. Całe dziełko podzielił na dwie części: ogólną i szczegółową. W części ogólnéj przedstawia najpiérw stosunek sztuki do natury (ta ostatnia jest idealizowaniem, doskonaleniem pierwszéj, zgodnie z Kremerem), kreśli obraz artysty i przedstawia jego przymioty, wskazuje na posłannictwo sztuki i przedstawia jéj podział, na 5 głównych części: architekturę, rzeźbę, malarstwo, poezję i muzykę.

Lubo rzeczy w tej części zawarte są interesująco i jasno przedstawione sądzimy przecież, że przy estetyce *poezji tylko* miejsce ich niestósowne; gdyby ta część estetyki, którą nam Dr. Ziemba w pomienionem dziełku przedstawił, była częścią pierwszą większego dzieła obejmującego i inne działy estetyki ogólnéj, nie mielibyśmy nietylko nic przeciwko umieszczeniu jej tutaj, ale uważalibyśmy jej brak na tem miejscu za kardynalną wadę.

Tym więcej to razi w układzie całości, że po téj części ogólnej następują w części szczegółowej znowu uwagi ogólne odnośnie do poezji omawiające istotę i zadanie poezji, charakteryzujące język poetyczny na wzorach obrazowych i malowniczych opisów, podające teorją formy poetycznej, a więc rymu, rytmu i strof, a nakoniec podział poezji.

I tu zauważyć musimy przeładowanie, a nawet niezbyt wzorowy porządek w układzie. Zacząwszy o języku poetycznym Dr. Z. przechodzi na teorją poetycznego przedstawienia rzeczy, na figury poetyczne, pięknie wprawdzie i jasno przedstawione, ale nie budzące dobrego smaku estetycznego, o który autorowi chodzi; co więcej schodzi nawet do stylistyki, że się tak wyrazimy poetycznéj przestrzegając przed nowotworami językowymi. Naszém zdaniem trzeba było podług naturalnego porządku po określeniu istoty poezji pomówić o jej formie, a więc o rymie, rytmie, strofach, choćby nawet i o figurach, ale krótko, i podzieliwszy poezję na znane trzy działy przystąpić do przedstawienia jej co do treści.

Dr. Ziemba w omawianiu poezji zaczyna od liryki, twierdząc, że „jakkolwiek w dziejach wielu literatur istotnie ten zachodzi wypadek, że poeci opisowi pojawiają się przed lirycznymi, przecież zdaje się być rzeczą niewątpliwą (?), że poezja liryczna, jako wprost z uczucia płynąca, pojawiła się najwcześniéj i dawno już przedtem żyła, choćby tylko w ustach ludu, zanim pod postacią artystyczną wystąpiła w literaturze.“ Długiegoby to wymagało motywowania zbijanie tego twierdzenia Szanownego Autora, a lubo rzecz sama nic na tem nie traci, czy najpiérw o liryce lub o poezji opisowéj mówić będziemy, wyznamy przecież, że na ten układ zgodzić się trudno, na podstawie samego tylko „zdaje się“ autora.

W liryce rozróżnia autor śpiewną, opiewającą, lirykę natchnionego zapału i refleksji. Przechodzi więc wszystkie te rodzaje popiérając je przykładami wzorowymi. W ten sam sposób przechodzi dział poezji opisowej mówiąc o właściwéj epopei, o powieści poetycznéj, klechdzie, rapsodzie, sielance, legendzie i o rodzajach poezji dydaktycznej.

W poezji dramatycznéj zastanawia się nad jej ogólnym charakterem, nad budową dramatu, dyalogiem, monologiem, dalej szczegółowo nad tragedją, komedją i właściwym dramatem, wyjaśniając teorją na wzorowych przykładach.

Za zasługę poczytujemy Szanownemu Autorowi użycie na wzory wyjątków z poetów polskich, o ile to tylko było możliwém; przy dramacie tylko musiał się uciec do Szekspira, jak przy epopei konieczną rzeczą było przedstawienie nieśmiertelnego utworu greckiego — Iljady.

Całość przedstawia się wdzięcznie, chociaż niekiedy za dydaktycznie traktowana. Sądzimy, że dziełko to znajdzie się w rękach wszystkich wykształconych, jako zalecające się i tanią ością i poprawnością formy, w pierwszym atoli rzędzie uważamy je za przydatne i pod każdym względem korzystne jako podręcznik do nauki teorji poezji w wyższem gimnazjum a osobliwie w klasie VIII. raz z tego względu, że autor rzecz tę przeważnie na praktyce o nauczaniu jej w gimnazjum oparł, drugi raz, że uczniowie dotąd pozbawieni podręcznika uciekać się muszą do drogiej książki Cegielskiego, nie wszędzie w teorji wzorowéj i poprawnéj. Zwracamy przeto na ten punkt uwagę władz szkolnych.

R. Z.

Geneza, rodzaj i znaczenie funkcyjne słów polskich, wytworzonych z pierwiastków za pośrednictwem przyrostka ną. *Napisał Prof. Dr. Antoni Kosiba. Nakładem autora. We Lwowie 1882.*

Trudno u nas dotąd spotkać się z prawdziwie naukową pracą z dziedziny gramatyki języka polskiego. W ostatnim czasie spostrzec można zwrot ku lepszemu i wolno się spodziewać po tem, co dotąd się pojawiło, że fantastyczne i samowolne bujanie po morzu etymologji, przecież raz ustąpi — czyniąc miejsce sumiennym studjom.

Praca Dra Kosiby, której tytuł powyżéj przytoczyliśmy lubo mało ma na sobie cech nowszego kierunku badań lingwistycznych, jest przecież cennym przyczynkiem do zrozumienia konjugacji polskiéj. Autor podziela rzecz swoją na dwie części; w pierwszej wykazuje etymologiczne pochodzenie słów tej klasy (u Miklosicha i Małeckiego II.) porządkując je podług przyjętego w nauce zwyczaju stósownie do tematów i umieszcza najpierw słowa utworzone z tematów kończących się na spółgłoski (a więc gardłowe, wargowe, zębowe, syczące, płynne) następnie kończące się na samogłoski, przyjmując dla wszystkich za principium divisionis: czy temat jest równy pierwiastkowi, czyli też od niego różny. W trzech kolumnach przedstawia bezokolicznik alfabetycznie uporządkowanych słów, temat w języku polskim i temat w języku starosłowiańskim, o ile wyśledzenie jego było możliwém. W części drugiéj określa znaczenie tych słów, które są chwilowymi, bądź to doraźnymi tj. dokonanymi, (przechodnimi lub nieprzechodnimi), bądź też niedokonanymi i doraźnymi, poczynającymi i zmieniającymi rodzaj i znaczenie.

Stąd utworzyło się sześć grup, w których autor przytacza znowu alfabetycznie należące do nich słowa nie wyliczając ich sucho, lecz podając w całych zdaniach, „wyjętych z pism wzorowych pisarzy różnych wieków tak poetycznych, jak i prozaicznych.“ Każdą grupę kończy spis złożonych znowu alfabetycznie uporządkowanych.

Autor wierzy jeszcze w pochodzenie wyrazu *obfity* od *okwity* (str. 14 uw. 1). W formie *okwity* widzimy tylko fałszywą analogją do wyrazów, *kwitnąć, kwiat*, podczas kiedy *obfity* powołało przez zniknięcie *ł* z grupy *pło* (opływity — ten co pływa), poczem *w* fonetycznie po *p* przeszło na *f* a *p* przemieniono na *b* poczuwając tu przyrostek *ob.* W „Modlitwach Wacława mamy jeszcze formy: oplwite 19. oplhpite, oplphita 86. oplwitoscz 52. (Por. Modl. Wacł. wyd. prof. L. Malinowskiego str. 28). Brak również skorowidza skróceń pisarzy i ich dzieł, których przykładami autor znaczenie słów popiera.

Z szczegółów podnieść musimy należyte pojęcie słowa *pomnę* (memini) (str. 19) wbrew Małeckiemu — z całości jasność i przejrzystość w przedstawieniu i nader sumienne opracowanie, przez które pracę ową gorąco filologom naszym polecić się ośmielamy.

R. Z.

Do tego Nru dołącza się rysunek piórkiem L. Benedyktowicza: Sosny.



SOSNY

Rysunek L. Benedyktowicza.